

## WPROWADZENIE

Parafrazując Elię Kazana lub Tadeusza Kantora, chciałoby się zakrzyknąć: **„Europa, Europa!”**. Po wielu latach starań i wyjątkowego wysiłku Polska zakończyła skutecznie negocjacje w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej. Formalnie nasz kraj powinien się stać pełnoprawnym członkiem Unii od 1 czerwca 2004 r. „Powinien”, ponieważ procedury ratyfikacyjne nie będą w tym przypadku zwykłą formalnością. Jeśli tak się stanie, będzie to jedno z najważniejszych wydarzeń w ponadtysiącletniej historii Polski. Będzie to definitywne zamknięcie trwającego trzy stulecia okresu, który się bardzo źle zapisał na kartach naszej historii: osiemnastowieczne staczenie się Polski w otchłań, dziewiętnastowieczny brak polskiej państwowości, dwudziestowieczne dramaty wojen i totalitaryzmów. Powinniśmy wejść do Europy bezpieczeństwa, rozwoju gospodarczego, wysokich standardów cywilizacyjnych. A jednak..., a jednak zwycięskiemu zakończeniu negocjacji w Kopenhadze nie towarzyszyła ani eksplozja entuzjazmu, ani manifestacje radości; byłyby one przecież uzasadnione jak rzadko kiedy. Kopenhaski sukces wieńczący rozpoczęty w 1989 r. marsz Polski do „Europy” został przyćmiony budzącą uprawniony niepokój sytuacją wewnętrzną w kraju, pogorszeniem sytuacji międzynarodowej oraz prymitywną i w istocie antypolską kampanią polskich przeciwników wejścia do Unii Europejskiej. Nie potrafimy się cieszyć z własnych historycznych sukcesów. Więcej zespołowego entuzjazmu wzbudzają sukcesy znakomitego skądinąd sportowca Adama Małysza.



Kopenhaski sukces nie mógł wzbudzić zbiorowej radości. Nie mógł, trwa bowiem kryzys polskiej demokracji, a co za tym idzie – kryzys państwa. Wydarzenia, które rozgrywają się przed naszymi oczami w ciągu ostatnich kilku miesięcy, prowadzą poważnych badaczy, analityków i komentatorów do wniosku, iż system Trzeciej Rzeczypospolitej wyczerpał swoje możliwości samonaprawy i czas myśleć o kolejnej Rzeczypospolitej. Niestety, na horyzoncie nie widać polskiego de Gaulle’a. Przywołajmy opinię jednego z naszych najwnikliwszych znawców polityki, profesora Pawła Śpiewaka. Jego zdaniem obecny ustrój Polski to **Rzeczpospolita fasadowa**, gdzie rządzący nie liczą się z nikim (ani z opozycją, ani ze społeczeństwem); trwa upartyjnianie stanowisk w administracji centralnej i zarządzanej przez państwo części gospodarki; zasadnicze decyzje zapadają poza

ciałami przedstawicielskimi, a demokratyczny teatr służy jedynie ukryciu tego procederu; doszło do utraty społecznego zaufania do instytucji państwa, porządku demokratycznego, partii, zasad sprawiedliwości i zaufania wzajemnego, w rezultacie czego następuje odwrót społeczeństwa od polityki i uczestnictwa w życiu publicznym, co grozi pojawieniem się syndromu autorytarnego. Komentując sprawę Rywina, prof. Śpiewak mówi wręcz o Rzeczypospolitej „Pigmejów”: **„Mamy do czynienia z demokracją towarzyską.** To bardzo niebezpieczny «ustrój»! Rozmowa, która wstrząsnęła Polską, dobrze to pokazuje – wszyscy są ze sobą na ty, razem piją wódkę, mają tajne układy, robią jakieś interesy, posługując się językiem knajackim, ulicznym. Niczym nie różnią się od handlarzy ze Stadionu Dziesięciolecia”. Wzajemne przeniknięcie się i „zakolegowanie” poprzez zatarcie linii demarkacyjnych trzech środowisk: polityki, biznesu i mediów, wynaturzyło polską demokrację. W grze o wpływy i pieniądze liczy się tylko skuteczność – osławiony pragmatyzm<sup>1</sup>. Miejsce słabnącej demokracji zajmuje oligarchia, a jej fundamentem jest wspólnota interesów klasy politycznej, biznesu i posiadaczy mediów, które obywatele przerabiają na konsumentów z pożytkiem dla polityków i biznesmenów<sup>2</sup>. To nie są procesy i zjawiska, które pojawiły się teraz, nagle; ich źródła leżą w specyfice polskiej zmiany '89. Jednym z ich najbardziej szkodliwych przejawów jest postępująca zaraza korupcji, która przybrała przerażające rozmiary. Jak mówiła w czasie sejmowego przesłuchania Wanda Rapaczyńska, prezes Agory: **„Korupcja niszczy państwo, niszczy rynek i konkurencję (...)** głęboko demoralizuje społeczeństwo, podważa zaufanie do życia publicznego (...). I narasta we mnie niezgoda i gniew, że z powodu pazerności tych ludzi zaprzepaszczone zostaną zdobycze transformacji”<sup>3</sup>. Jest powszechnie widoczne, iż dla niemałej części klasy politycznej państwo stało się instrumentem zapewniania sobie życia w dobrobycie; z podatków płaconych przez społeczeństwo bez trudu uzyskiwane są dochody osobiste w postaci bezzasadnie wysokich uposażeń członków różnych rad (polityki pieniężnej, telewizji i radiofonii), diet radnych czy poselskich, uprzywilejowanego dostępu do udziałów, miejsc w zarządach spółek Skarbu Państwa itp. Postępująca erozja wiarygodności zasad i procedur demokracji w połączeniu ze stagnacją ekonomiczną, rosnącym rozwarstwieniem dochodów, rozszerzającą się strefą ubóstwa i bezrobocia musi prowadzić do sytuacji społecznej, która może zachwiać stabilnością ustrojową RP.

Już ponury obraz polskiej polityki wyłaniający się z afery Rywina, jeszcze do końca nie wyjaśnionych (jeśli kiedykolwiek...) jej okoliczności oraz jej rozległych

<sup>1</sup> P. Śpiewak, *Dekoracyjna demokracja*, „Res Publica Nowa”... lipiec 2002 oraz idem, *Koniec Żłudzeń*, „Rzeczpospolita” z 23 stycznia 2003; *Rzeczpospolita „Pigmejów”*, wywiad dla „Super Expressu” z 24 stycznia 2003 r. Podobnie rzecz ujmuje kardynał Józef Glemp: „Ta sprawa pokazuje, jak bardzo nasze życie polityczne, społeczne jest zniszczone [politycy – R.K.] nie mają ideałów, ale mają ambicje. To sprawa braku sumienia. Sumienia zniszczyła kiedyś ideologia socjalistyczna, a teraz bezkarne zdobywanie pieniędzy w sposób nieuczciwy oraz media, które ukazują świat swawoli, posiadania, świat bez wartości”. Wywiad prymasa Polski dla „Rz” z 19 lutego 2003 r.

<sup>2</sup> R. Bugaj, *Narodziny oligarchii*, „Rz” z 6 stycznia 2003 r.

<sup>3</sup> „Gazeta Wyborcza” z 19 lutego 2003 r.

implikacji dopełnia kolejny kryzys rządowy i rozpad rządzącej koalicji, a w rezultacie pozostanie u władzy rządu mniejszościowego oraz perspektywa przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jest to właściwie kontynuacja zasady, która obowiązuje w Polsce od 1997 roku, a która polega na przeplataniu się rządów programowo niespójnych z rządami mniejszościowymi. Ani jedno, ani drugie nie są w stanie podejmować decyzji odważnych i głębokich, przygotowywać i konsekwentnie wdrażać rozstrzygnięć o charakterze systemowym, choć nierzadko przejściowo społecznie bolesnym, a takie są właśnie Polsce potrzebne w przededniu wejścia do Unii. Członkostwo w UE, o czym powszechnie wiadomo, to nie tylko ogromna szansa, to także ogromne wyzwanie wymagające nadzwyczajnej mobilizacji systemu całego państwa, systemu, którego właściwością nie będzie jedynie dynamizowane polityczną doraźnością dryfowanie od przesilenia do przesilenia. Taki system i taka sytuacja nie pozwalają na myślenie o sprawach dla państwa najważniejszych, nawet jeśli w klasie politycznej są tacy, którzy są zdolni do takiego myślenia. Taki system i taka kultura („klasa”) polityczna nie są na miarę europejskiego wyzwania, które jest przed nami. Jak pisze znany ekonomista Waldemar Kuczyński, „stoiśmy u progu Unii jako kraj o słabej konkurencyjności, niskim wzroście gospodarczym i wielkim bezrobociu”. Jan Szomburg pisze, iż „do Unii Europejskiej warto przystąpić dla trzech strategicznych celów: zwiększenia bezpieczeństwa, awansu cywilizacyjnego i rozwoju gospodarczego”. **Lecz strategiczne cele wymagają bodaj minimum strategii, o której obecny stan państwa nie pozwala nawet marzyć. Polski sukces w Unii zależy, pisze Szomburg, przede wszystkim od naszej polityki wewnętrznej, od tego, „czy potrafimy zbudować niezbędny poziom spójności społecznej i wychowywać młodzież w duchu patriotycznym, by zwiększyć identyfikację wspólnotową i państwową. Bez tego nie wygramy w przyszłości ani w Unii, ani poza nią”.** Jeśli trafną odpowiedzią na postulaty Jana Szomburga jest diagnoza Pawła Śpiewaka, to Polska może stać się w Unii – jak prognozuje „Financial Times” – nową Grecją (nie zaś „nową Europą”, o której w innym kontekście mówił Donald Rumsfeld)<sup>4</sup>.



Tymczasem w momencie, w którym polska klasa polityczna powinna nie tylko sama pogrążyć się w refleksji na temat tego, co znaczy dla Polski „wchodzenie do Europy”, co znaczy „być Europą”, ale także inicjować proces głębokiej, nie powierzchownej „europeizacji” kraju i mu przewodzić, jesteśmy świadkami ruchu idącego w zupełnie innym kierunku. Ostatni rok stoi pod znakiem niezwyklej wprost amerykańskiej polskiego myślenia politycznego, która znalazła wyraz w spektakularnym poparciu polityki administracji G.W. Busha wobec Iraku.

<sup>4</sup> J. Szomburg, *Strategia integracji i rozwoju*, „Rz” z 16 grudnia 2002 r.; W. Kuczyński, *Cała przygoda przed nami*, „Rz” z 24 lutego 2003 r.; J. Reed, *Is Poland the new Greece? Why Warsaw's entry into the European Union may be rough*, „FT” z 9 grudnia 2002 r.

W języku tenisowym jest to klasyczne zagranie *contre pieds*. W sporze pomiędzy Europą a Ameryką, pomiędzy europejskim a amerykańskim podejściem do tej sprawy polska klasa polityczna opowiedziała się za USA. W tym sporze nie chodzi jednak o Irak. Spór jest znacznie poważniejszy, podobnie jak znacznie poważniejsze mogą być konsekwencje tego wyboru – dokonanego przez, podkreślmy, klasę polityczną, społeczeństwo polskie bowiem nie odróżnia się w swym stosunku do sprawy wojny z Irakiem od społeczeństw zachodnioeuropejskich. Pojawiły się w tym kontekście postawy wręcz schizofreniczne: „wyciągamy co się da ekonomicznie i finansowo z Unii Europejskiej, lecz politycznie i wojskowo zwiążmy się z USA”<sup>5</sup>. Takie stanowisko świadczy nie tylko o głębokiej nieznajomości tego historycznego przedsięwzięcia, jakim jest integracja europejska, lecz także jest dysfunkcjonalne wobec cywilizacyjnego wyzwania, przed którym stanęła Polska w związku z naszym dążeniem do członkostwa w Unii. Pytanie, jakie się jawi w świetle tego rozdarcia, brzmi przecież następująco: **jakiej cywilizacji potrzebują Polacy**. Amerykanizacja naszej politycznej mentalności z pewnością nie służy wysiłkowi na rzecz europeizacji Polski, ponieważ to nie Europa jest w takiej sytuacji całościowym, cywilizacyjnym wzorcem, do którego warto aspirować. Polska może i powinna być pewnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, lecz – zdaniem niektórych – nietrafnie został wybrany i moment, i kontekst, i przejaw manifestacji naszego do niej przywiązania. Zbigniew Brzeziński mówi, iż najsolidniejszą podstawą naszego sojuszu z USA jest nie tyle bezwarunkowe popieranie Waszyngtonu w każdej sprawie, ile „rozwój Polski – gospodarczy, polityczny i wojskowy”, zaś „poważny sojusznik nie może działać jak satelita, ale ma obowiązek samodzielnie oceniać istniejącą sytuację”<sup>6</sup>.

Amerykanizacja naszej politycznej mentalności nie służy poziomowi polskiej refleksji na temat wyzwania europejskiego. Trafnie dostrzegł to Aleksander Smolar w kontekście znanej wypowiedzi francuskiego prezydenta sfrustrowanego opowiedzeniem się krajów kandydujących do Unii po stronie Busha w sprawie Iraku. **„Wyskok Chiraca – zauważa profesor Smolar – ma dobrą i złą stronę. (...) Zła strona dotyczy nas – poczucie skandalu i krzywdy zwalnia nas od przemyślenia konsekwencji przystąpienia do Unii i obecnej skomplikowanej koniunktury międzynarodowej, w której musimy podejmować decyzje. Mam poczucie, że sprzyja to infantyilizacji naszej polityki. Jednak poza oburzeniem formą nikt nie wydaje się zainteresowany głębszym sensem słów Chiraca.**

<sup>5</sup> Klinicznym przykładem takiej „chytrej strategii” jest tekst Z. Lewickiego, *Miejsce Polski w nowej Europie*, „Rz” z 24 lipca 2002 r.; też J.M. Nowakowski, *Umierać za Bagdad?*, „Wprost” z 8 września 2002 r.; tekst polemiczny: O. Osica, *Mocarstwo marginalne*, „Rz” z 26 lipca 2002 r.

<sup>6</sup> *Sojusznik to nie satelita*, rozmowa z prof. Zbigniewem Brzezińskim, „Polska Zbrojna” nr 14, marzec 2000. Swoisty „kolorowy zawrót głowy” ogarnął niektórych analityków i komentatorów po skądinąd udanej wizycie prezydenta A. Kwaśniewskiego w USA, w lipcu 2002 r. Ton wielu wypowiedzi wskazywał na całkowitą utratę poczucia miary i rzeczywistości, gdyż nie zważając na realny potencjał i kondycję Polski różni eksperci już widzieli nasz kraj w roli subregionalnego mocarstwa, którego status będzie pochodną uprzywilejowanego sojuszu z Waszyngtonem G.W. Busha, a Polska – u boku USA – miałaby stać się poważnym graczem na „bliskowschodniej szachownicy”!

Odczytać zaś z nich można świadectwo utraty złudzeń co do możliwości budowania Europy politycznej i obronnej z krajami naszej części Europy”.<sup>7</sup> Polska jest i powinna pozostać solidnym sojusznikiem USA, jednak wzorem do naśladowania nie mogą być Turcja, Filipiny czy Nikaragua, lecz znakomita większość państw Unii Europejskiej<sup>8</sup>. Nie może być dla nas punktem odniesienia Wielka Brytania – anglosaskie więzy krwi i wspólnota interesów strategicznych są zupełnie unikatowe i nie do powtórzenia w żadnym innym układzie. Wchodzimy do Unii Europejskiej trochę na kredyt. Spełniamy wprawdzie jako tako normy prawne, lecz pod względem standardów rozwoju materialnego drastycznie odstawiamy od unijnej średniej i odrabianie tych historycznych zaległości będzie możliwe tylko dzięki unijnej szczodrości. Powinniśmy zatem inwestować w budowę silnej i zjednoczonej Europy, będącej poważnym i samodzielnym podmiotem życia międzynarodowego. Tylko taka Europa będzie w stanie bronić swych interesów, które stają także naszymi interesami. Tak, chodzi przy tym o „starą Europę”, do której dążymy, nie zaś o „nową”, którą przez wejście do Unii chcemy opuścić. Trzeba, abyśmy to zrozumieli i nie byli w UE czynnikiem tę Unię dezintegrującym lub paraliżującym. Mimowolny sojusz dwóch nurtów w polityce polskiej: proamerykańskiego z antyeuropejskim może skutecznie hamować proces internalizacji europejskich wartości i standardów – wzbogacania polskiej tożsamości we wspólnej Europie<sup>9</sup>.



**„Rozważać wypowiedzenie wojny oznacza myśleć o jednym z najokropniejszych ludzkich doświadczeń. Ta wojna nie jest zwykłą próbą obalenia jakiegoś łobuza. Nie. Wojna, która nadchodzi, jeśli się zmaterializuje, oznacza punkt zwrotny w polityce zagranicznej USA i prawdopodobnie punkt zwrotny w najnowszej historii świata. Stany Zjednoczone zabierają się do przetestowania swej rewolucyjnej doktryny w zupełnie wyjątkowy sposób i w niefortunnym momencie. Doktryna działań wyprzedzających – będąca ideą, zgodnie z którą każde państwo ma prawo do zaatakowania innego państwa, jakie mu obecnie nie zagraża, lecz być może zagrozi mu w przyszłości – jest radykalnym skreśleniem w tradycyjnej idei samoobrony. (...) Nazywanie przywódców państw Pigmejami, określanie całych państw jako zła, poniżanie ważnych europejskich sojuszników jako bezwartościowych – ten typ prymitywnego**

<sup>7</sup> *Stary Kontynent i nowe kłopoty*, wywiad z Aleksandrem Smolarem (przeprowadził Jarosław Kurski), „Gazeta Wyborcza” z 1–2 marca 2003 r.; zob. też O. Osica, *Polska – banalny sojusznik*, „Tygodnik Powszechny” z 16 lutego 2003 r.; R. Kuźniar, *Odważ się myśleć, polski strateg!*, ibidem, 17 listopada 2002 r.

<sup>8</sup> Stany Zjednoczone dobierają sobie „specjalnych” sojuszników przede wszystkim ze względu na walory ich geostrategicznego położenia (możliwość rozmieszczenia baz wojskowych czy instalacji systemu obrony przeciwrakietowej), lecz raczej nie wykazują zainteresowania rodzajem ich rządów czy poziomem rozwoju cywilizacyjnego.

<sup>9</sup> *Bóg chce, abyśmy przeszli do wspólnej Europy*, wywiad z prymasem Polski, kardynałem Józefem Glempem, „Rz” z 19 lutego 2003 r.

braku wrażliwości nie może przynieść niczego dobrego Stanom Zjednoczonym. (...) W ciągu dwóch krótkich lat ta pozbawiona rozsądku i arogancka administracja zainicjowała politykę, która może przynieść długotrwałe katastrofalne następstwa. (...) Naprawdę, nie mogę zgodzić się z poglądem jakiegokolwiek prezydenta mówiącego, iż niesprowokowany atak zbrojny na kraj, w którym ponad 50 procent ludności stanowią dzieci «jest zgodny z najwyższą moralną tradycją naszego narodu»<sup>10</sup>. Tak mówił znany demokratyczny senator, Robert Byrd, w Senacie USA 12 lutego 2003 r.<sup>10</sup> Termin „wojna” jest tu zresztą pewnym nadużyciem i jest uzasadniony jedynie w prawnym sensie. Oglądana na ekranach gigantyczna dysproporcja sił między zgromadzonym wokół Iraku potężnym i nowoczesnym potencjałem USA i popierających je kilku państw a otoczo- nym ze wszystkich stron, już podzielonym, rozbrojonym w znacznym stopniu, całkowicie przejrzystym dla strony przygotowującej atak, czyli *de facto* bezbron- nym Irakiem nie pozwalała nawet nazywać tego starcia wojną. To nie mogła być wojna, co najwyżej wykonanie wyroku, który zapadł w wyniku samosądu. To musiało wzbudzać sprzeciw moralny. To nie mogło być do przyjęcia, nawet jeśli tylko ze względów estetycznych (tak, jest to także „sprawa smaku”...); nawet jeśli ta samowolna egzekucja miała dotyczyć znanego w przeszłości opryszka (jej zamierzoną ofiarą miał być wszakże również rządzony przezeń kraj).

Niezależnie od wszelkich możliwych komentarzy i interpretacji sprawy ira- ckiej należy wskazać na **dwa fakty o fundamentalnym znaczeniu**. Po pierwsze, do lata 2002 roku Irak nie był uważany za źródło bezpośredniego czy poważ- nego zagrożenia dla kogokolwiek: regionu, bezpieczeństwa międzynarodowego czy Stanów Zjednoczonych. Świadczą o tym bezspornie ustalenia najbardziej miarodajnego ośrodka w tej dziedzinie na świecie, Sztokholmskiego Między- narodowego Instytutu Badań nad Pokojem. W dorocznym raporcie SIPRI (za 2001 i początek 2002 r.) nie ma żadnych alarmujących sygnałów dotyczących Iraku; sprawozdanie ma rutynowy charakter<sup>11</sup>. Irak „stał się problemem”, po- nieważ tak zdecydowała administracja Busha. Po drugie, rezolucja Rady Bez- pieczeństwa NZ nr 1441 z 8 listopada 2002 r. nie dawała żadnemu z państw najmniejszych podstaw do jednostronnej akcji militarnej przeciwko Irakowi w związku z jej implementacją. Pośrednio uznawały to same Stany Zjednoczone, które wprawdzie publicznie twierdziły inaczej, lecz w pierwszej połowie marca br. podjęły próbę uchwalenia nowej rezolucji, która dawałaby zielone światło dla jednostronnego ataku zbrojnego.

W tej sytuacji amerykańsko-brytyjski atak na Irak nie mógł uzyskać poparcia Narodów Zjednoczonych; nie miał także poparcia szerszej społeczności między- narodowej. Przeciwnie, znakomita większość państw i narodów świata sprzeci-

<sup>10</sup> R. Byrd, *Reckless and arrogant policies*, „International Herald Tribune” („IHT”) z 19 lutego 2003 r. Zob. też R. Malley, *An unnecessary, avoidable, dangerous war*, ibidem, 7 marca 2003 r. (autor był bliskim doradcą prezydenta USA, B. Clintona); B.R. Barber, *To niewłaściwa wojna*, „GW” z 26 lutego 2003 r.

<sup>11</sup> *SIPRI Yearbook 2002. Armaments, Disarmament and International Security*, Oksford 2002, m.in. s. 215 i n., 705 i n.

wiała się tej operacji: sprzeciwiały się jej również społeczeństwa państw, których rządy udzieliły poparcia akcji USA. Nie mogło być takiego poparcia, ponieważ ciężkim grzechem przeciwko zdrowemu rozsądkowi była głoszona przez Waszyngton teza, iż Saddam Husajn stanowi zagrożenie dla świata i dla bezpieczeństwa USA. Nie mogło być takiego poparcia, ponieważ rozbrojenie Saddama z resztek zakazanej broni mogło się odbyć w ramach ONZ i pod nadzorem Rady Bezpieczeństwa NZ. Nie mogło być takiego poparcia, ponieważ wprowadzie sam dyktator Iraku nie budził niczyjej sympatii, lecz jeszcze bardziej obawiano się długofalowych i globalnych konsekwencji amerykańskiego ataku na Irak. Tym bardziej musiała dziwić, a wręcz wzbudzać lęk, propagandowa kampania na rzecz wojny. Poziom argumentacji, brak elementarnej logiki i sensu, pogarda dla odmiennych opinii nie wróżyły niczego dobrego. Porównywanie zagrożenia ze strony Iraku z sytuacją z 1939 r. to nie tylko ignorancja historyczna, to już Himalaje absurdu. Za zupełnie niedorzeczne uznali tego rodzaju porównania tacy historycy, jak Eric Hobsbawm, Norman Davies, Mark Mazower czy Paul Kennedy<sup>12</sup>. Propagandzie na rzecz wojny towarzyszyło ośmieszanie jej krytyków, do których należeli przywódcy poważnych państw czy eksperci i obserwatorzy o ustalonej reputacji „jastrzębi” w sprawach międzynarodowych.<sup>13</sup> **Apologeci „rozprawy z Saddamem” nie dopuszczali do siebie myśli, że źródłem sceptycyzmu czy krytycyzmu nie był przypisywany wątpiacym pacyfizm czy antyamerykanizm, lecz jedynie zwykła przyzwoitość.** Przyzwoitość, czyli szacunek dla faktów, sprzeciw dla łamania zasad prawnych i moralnych, wrażliwość wobec perspektywy śmierci tysięcy niewinnych ludzi oraz zniszczeń w kraju już zniszczonym, lęk przed samowolą supermocarstwa, którego poczucie religijnej niemal misji zostało wyposażone w historycznie bezprecedensowy potencjał zbrojny, zapewniający mu całkowitą bezkarność.

Sprzeciw wobec jednostronnej operacji USA brał się także, wbrew temu, co deklamował chór nierozumnych komentatorów, z obawy o przyszłość amerykańskiego przywództwa w świecie; przywództwa naturalnego i pożądanego, które – jeśli rozumne i empatyczne wobec prawdziwych, a nie urojonych problemów – mogłoby być dla świata błogosławieństwem. Nie może przewodzić światu mocarstwo, które bez uzasadnienia, spektakularnie, egoistycznie i z rozmysłem narusza ważne dla całej społeczności międzynarodowej zasady. Mocarstwo, które ignoruje interesy i odczucia innych, które odwraca się od reszty świata, które szantażuje i poniża instytucje (ONZ) uznawane przez wszystkich za fundament porządku międzynarodowego. Takie mocarstwo nie będzie przewodzić, lecz dominować, a jego dominacja będzie zawsze przedmiotem kontestacji i źródłem niestabilności międzynarodowej. Polityka takiego mocarstwa, miast służyć rozwiązywaniu problemów, będzie ich źródłem. „Wygrać wojnę, a stracić świat”,

<sup>12</sup> *Tu się nic nie powtórzy. Opinie spisał M. Seaton*, „The Guardian” z 19 lutego 2003 r., cyt. za „Forum” z 10 marca 2003 r.

<sup>13</sup> Warto przy tym zauważyć, iż w porównaniu z mediami krajów idących na wojnę (USA, Wielka Brytania) polskie media grzeszyły jednostronnością prezentowanych, prowojennych ocen i komentarzy.

tak właśnie w końcu lutego komentował „szaleństwo Waszyngtonu” jeden z najbardziej respektowanych amerykańskich publicystów<sup>14</sup>. Posłuchajmy jeszcze opinii byłego prezydenta USA Jimmy’ego Cartera: „Teraz, gdy narodowe bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych nie jest bezpośrednio zagrożone i pomimo ogromnej opozycji większości narodów i rządów świata **USA są zdecydowane przeprowadzić akcję niemal bez precedensu w historii cywilizowanych narodów**. W pierwszym etapie operacji wedle szeroko ogłaszanego planu wojennego USA zamierzają zrzucić 3 tys. bomb i rakiet na względnie bezbronną ludność Iraku w ciągu pierwszych kilku godzin inwazji, w celu wywołania takich szkód i demoralizacji społeczeństwa, aby skłonić je do zmiany swego nieznośnego przywódcy, który w czasie bombardowań będzie zapewne ukryty i bezpieczny. (...) Jawnym celem USA jest obalenie irackiego reżimu i zaprowadzenie *Pax Americana* w regionie oraz zapewne okupacja tego etnicznie podzielonego kraju przez jakieś dziesięć lat. Na to USA nie mają międzynarodowego przyzwolenia. (...) Rosnąco jednostronna i zmierzająca do dominacji polityka obniżyła międzynarodowe zaufanie do USA do najniższego poziomu w historii”<sup>15</sup>. Tak oto **sprawa Iraku stała się polem konfrontacji siły argumentów z argumentem siły**.

W niniejszym, już ósmym, wydaniu „Rocznika Strategicznego”, piszemy sporo o wydarzeniach i tendencjach dotyczących bezpieczeństwa międzynarodowego. Tocząca się kampania przeciwko międzynarodowemu terroryzmowi w pełni uzasadnia to zainteresowanie. Z polskiej perspektywy najważniejsze było jednak szczęśliwe zakończenie negocjacji o przystąpieniu do Unii Europejskiej. Temu wydarzeniu poświęcamy tegoroczne *Forum „Rocznika”*, do którego mieliśmy szczęście pozyskać znakomitych Autorów. Teksty Hanny Suchockiej, Piotra Nowiny-Konopki oraz Marka Grelu mówią o europejskim wyzwaniu Polski w trzech sferach: cywilizacyjnej, politycznej i dyplomatycznej.

Wybitni Autorzy: intelektualiści, ekonomiści, prawnicy, politolodzy, dyplomaci, strategicy, zgodzili się także przyjąć zaproszenie do krótkiej ankiety „Rocznika”. Jej przedmiotem była ocena spraw świata w świetle zamachu z 11 września i jego różnorodnych implikacji.

*Roman Kuźniar, 11 marca 2003 roku*

<sup>14</sup> W. Pfaff, *Winning a war and losing the world*, „IHT” z 27 lutego 2003 r. W czasie swego wykładu w National Defense University, 13 stycznia w Waszyngtonie, prezydent Aleksander Kwaśniewski wyraźnie powiedział: „Aby przywództwo Stanów Zjednoczonych było skuteczne, musi uwzględniać współpracę i opierać się na zasadach akceptowanych przez wszystkie strony. Jeśli zabraknie tych zasad, wówczas przywództwo może być postrzegane jako hegemonia lub dominacja” (tekst w „GW” z 16 stycznia 2003 r.). Problem w tym, iż jak powiedział kilka dni wcześniej brytyjski premier Tony Blair, „Amerykanie przestali słuchać”.

<sup>15</sup> J. Carter, *An attack is not yet justified*, „IHT” z 10 marca 2003 r.



## BEZKARNOŚĆ

„New era has begun” – takie były pierwsze słowa amerykańskich ekspertów wypowiedziane 20 marca nad ranem, tuż po pierwszych salwach, które spadły na Bagdad. Dlaczego „nowa era”? Ponieważ po raz pierwszy w historii Stany Zjednoczone „uderzyły wyprzedzająco”, uciekły się do „pre-emptive war”. Wojnie przeciwko Irakowi nadano kryptonim „Iracka Wolność”.

Do głównych celów operacji, zgodnie z deklaracją Waszyngtonu, należało: a) obalenie reżimu Saddama Husajna i wyzwolenie Iraku, b) rozbrojenie tego kraju z broni masowego rażenia oraz c) zapoczątkowanie procesów demokratycznych w regionie. Bardzo sugestywnie brzmiały słowa amerykańskich polityków i wojskowych opisujących prowadzoną przez nich operację: „attack of unprecedented scope and ferocity”, „unprecedented shock and awe bombardment campaign”, „we’re using munitions on a scale never seen before”, „casualties inflicted may help regime to collapse”. I istotnie, amerykańskie media plastycznie relacjonowały: „Baghdad devastated”, „eve of destruction”, „night skies obscured by red mushrooms clouds”, „terrifying, dreadful sight” etc.

Hasło „szok i groza” skierowane do Iraku przerażyło bardziej świat niż samych Irakijczyków. Jak wiadomo, światowa opinia publiczna, w tym największy autorytet moralny Zachodu, Jan Paweł II, była przeciwna tej wojnie. Tej wojnie, dla której nie znajdowano podstaw faktycznych, prawnych czy moralnych. Nikt, poza tymi, którzy zdecydowali o tej wojnie, nie może powiedzieć, iż opisane wyżej przez samych Amerykanów metody są właściwe, aby usuwać nielubianych w Waszyngtonie czy Londynie dyktatorów. Nikt też nie może powiedzieć, że w celu przyspieszenia wykonania zadania, które zostałyby wykonane zgodnie z rezolucją Rady Bezpieczeństwa NZ przez inspektorów ONZ, warto było sięgnąć do takich metod. Nikt, komu bliski jest duch formuły Martensa z IV Konwencji Haskiej (1907), mówiącej o kierowaniu się w konflikcie „zasadą człowieczeństwa i wymogami społecznego sumienia”. Złamana została fundamentalna zasada stosowana przy tego rodzaju konfliktach – zasada proporcjonalności. Uzasadnienie i cele stawiane przed tą operacją nie usprawiedliwiały bowiem przyjętych przez oba mocarstwa metod, zniszczeń i śmierci niewinnych oraz innych kosztów będących ich rezultatem, jak na przykład katastrofy humanitarnej czy niszczenia zabytków najstarszej starożytnej cywilizacji – Mezopotamii. Do licznych precedensów ustanawianych przez tę wojnę należy także zaliczyć szybsze, niż zakładano, zużycie około 7 tys. rakiet i bomb zrzuconych z takim zapalem i bez ograniczeń na „reżim iracki” (choć padały one także na terytorium Iranu, Arabii Saudyjskiej i Turcji), że już po kilku dniach trzeba było czekać na nowe dostawy. Nie było dla nikogo, poza Waszyngtonem i Londynem, zaskoczeniem, iż godne orwellowskiej tradycji hasło nadane przez Amerykanów w irackim radiu w pierwszym dniu wojny „This is the day we have been waiting for” nie trafiło do przekonania Irakijczykom. Wbrew oczekiwaniom, w ten sposób „wyzwalany” naród iracki nie witał wojsk

*inwazyjnych chlebem, solą i kwiatami, nie wiwatował na ich cześć. Owszem, cieszą się z upadku dyktatora. Oburzenie amerykańskich polityków i wojskowych oraz gwałtowne oskarżenia o łamanie Konwencji Genewskiej z powodu pokazania w telewizji irackiej kilku jeńców wojennych wypowiedziane na tle bombardowanych i płonących miast irackich nie mogło być odbierane inaczej niż jako groteskowe i świadczyło o dramatycznej utracie przez USA kontaktu z resztą świata.*

*Konsekwencje tej wojny pojawiły się na długo przed jej wybuchem. Do „sukcesów” administracji Busha, będących implikacjami wojny z Irakiem, zaliczono m.in.:*

- najgłębszy kryzys międzynarodowy od połowy lat osiemdziesiątych,*
- głębokie podziały w NATO i Unii Europejskiej,*
- kryzys ONZ (interwencja USA była od samego początku pogwałceniem zasad i innych postanowień Karty NZ),*
- falę antyamerykanizmu na całym świecie (choć początkowo protesty przeciwko planowanej wojnie nie miały antyamerykańskiego podłoża, nie miały też nic wspólnego z przypisywanym im przez propagatorów wojny pacyfizmem),*
- pogłębienie podziałów między cywilizacjami (publiczne modlitwy Busha i innych członków administracji o zwycięstwo potwierdzały międzynarodowy odbiór tej wojny jako „krucjaty”; warto przy tym jednak dodać, że wszystkie Kościoły amerykańskie, łącznie z tym, do którego należy prezydent Bush – Zjednoczeni Metodyści – wypowiedziały się przeciwko tej wojnie),*
- powszechny niepokój o kształt porządku międzynarodowego, w którym pożądaną przywództwo USA przemieniło się w budzącą lęk hegemonię.*

*Można powiedzieć, stało się! Stało się to, przed czym ostrzegali już od pewnego czasu najwybitniejsi amerykańscy badacze i komentatorzy – S. Huntington, P. Kennedy, W. Pfaff, M. Ignatieff. Ostrzegali przed skutkami nadmiaru potęgi militarnej USA oraz przyjętej przez Waszyngton rewolucyjnej doktryny wojennej, w której oficjalnie przyznano, iż Ameryka nie czuje się związana prawem międzynarodowym w realizacji swej polityki bezpieczeństwa, a ponieważ interesy bezpieczeństwa USA mają charakter globalny, Ameryka może interweniować wszędzie i zawsze, gdy uzna to za właściwe. Gotowość Ameryki Busha do interwencji niezależnie od faktycznego stanu rzeczy, zasad prawa i moralności, stanowiska światowej opinii publicznej czy swych sojuszników, a tylko na podstawie jej subiektywnego odczucia i rozszerzająco interpretowanych interesów, wynika z jej poczucia bezkarności. Świadomość siły, która nie ma przeciwwagi, daje luksus nieliczenia się z nikim, daje luksus ignorowania prawa; nawet jeśli postępujemy niezgodnie z prawem, nawet jeśli okaże się, iż nie mieliśmy racji, nikt nie odważy się obciążyć nas kosztami.*

*Nie jest to sytuacja luksusowa dla reszty świata, zwłaszcza dla wolnego świata. Jak na to odpowiedzieć? Podjąć wyzwanie i stanąć do wyścigu zbrojeń, który Ameryka narzuca reszcie świata, tylko po to, aby być traktowanym przez Waszyngton Busha po partnersku? Czy może pogodzić się ze statusem wasala, który ma przecież, przynajmniej, także swoje dobre strony? Mówiąc zupełnie poważnie,*

*sytuacja, której jesteśmy uczestnikami, uderza również w same fundamenty, na jakich oparte są nasze instytucje, w demokrację, rządy prawa, prawa człowieka i podstawowe swobody. Musiała wywoływać dyskomfort intelektualny i moralny manifestacja pogardy dla przeciwnika, któremu odmówiono wszelkiej godności i ludzkich cech, owe oskarżenia o najgorsze intencje, które tak często okazywały się półprawdami lub fałszem bez pokrycia (niezawodny Rumsfeld). Musiał budzić głęboki dyskomfort moralny i estetyczny widok muskularnego i uzbrojonego po zęby Commando Schwarzeneggera, które wyskoczyło ze swojej twierdzy i zaatakowało słabego starca w jego własnej chatupie, zarzucając mu, że ten zagraża jego bezpieczeństwu. No i ta pełna nienawiści medialna propaganda służąca wytworzeniu atmosfery wojny. Eksplozja szowinizmu i manipulowanie strachem (prof. J. Sachs) oraz silna obecność politycznej irracjonalności (ideologiczno-religijnej mieszanki) to nie tylko fatalne zaplecze strategii międzynarodowej supermocarstwa. To także źle wróży demokratycznej i przenikniętej duchem praw człowieka przyszłości naszych państw – Zachodu. Nadzieja w społeczeństwach, które na kontynencie europejskim w przytłaczającej większości były przeciwko tej wojnie; tej wojnie. Tam, gdzie rządy opowiedziały się za wojną wbrew swym społeczeństwom, można zasadnie mówić o demokratycznym deficycie.*

*„Rada Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych i sekretarz generalny Kofi Annan poruszyli niebo i ziemię, aby sabotować wyzwolenie Iraku. Poszli dalej niż brytyjski premier Neville Chamberlain na spotkaniu z Adolfem Hitlerem w Monachium w 1938” – „Washington Times” z 25 marca 2003 r. To tylko próbka stylu „nowej Ameryki”.*

*Ta wojna nie miała prawa się zdarzyć. Trzeba jednak wierzyć, że po jej zakończeniu Ameryka znajdzie w sobie dość siły moralnej i rozsądku politycznego, aby powrócić do tradycji, które uczyniły ją wielką, dzięki którym stała się natchnieniem i nadzieją świata, a z których wypchnęła ją obecna administracja. W przeciwnym przypadku, jeśli – jak zapowiadają wpływowi w tej administracji fundamentaliści (tzw. neokonserwatyści) – Irak to dopiero początek zaprowadzania wyśnionego przez Amerykę porządku światowego, współczesny Norwid będzie musiał napisać zupełnie tak samo jak jego wielki poprzednik: „Korony mojej sztuczne ognie zgaście, noc idzie...”.*

Pisane jedenastego dnia wojny anglosaskiej  
„osi dobra” przeciwko Irakowi